

Polska gospodarka pod koniec 2006 roku.

W połowie grudnia sejm zatwierdził budżet na 2007 r. Budżet dobry i rozwojowy według koalicji, budżet niewykorzystanych szans – według opozycji. Wszystko zależy od punktu widzenia.

Bez wątplenia rok 2006 był dla polskiej gospodarki bardzo dobry.

PKB za cały rok szacowane jest na 5,5-5,8%. Wiele wskazuje na to, że zakładany na 2006 r. deficyt budżetowy w wysokości 30,5 mld zł będzie niższy nawet o 3,5 mld zł.

Ministerstwo Pracy i Polityki Społecznej od miesięcy chwali się spadkiem bezrobocia do poziomu nie notowanego od lat. 14,8% to faktycznie znacznie mniej niż jeszcze nie tak dawne 18%. Gdyby patrzeć tylko na wskaźniki, a nie zastanawiać się nad przyczynami, można by ten wynik uznać za bardzo dobry. Gorzej jeśli spojrzymy na wielkość emigracji. Okaże się wówczas, że w tym samym okresie z Polski wyjechało ok. 0,5 mln Polaków, czyli dokładnie tyle, o ile procentowo spadło bezrobocie. Dodatkowym czynnikiem jest wyjątkowo łagodna zima, która sprzyja pracom sezonowym. Od lat w okresie zimowym rośnie ilość osób bez pracy. Tym razem jednak w połowie grudnia na wielu placach budowy prace szły pełną parą. Gdyby nie emigracja i lekka zima, statystyki bezrobocia nie byłyby tak optymistyczne.

Optymistyczne założenia dotyczące dochodów państwa muszą mieć pokrycie w działaniach rządu.

W budżecie przyjęto wzrost przychodów o 9% do kwoty 226 mld zł, a wydatki zaplanowano na 256 mld zł, czyli o 30 mld zł więcej. PKB zaplanowano na 5%, inflacja i bezrobocie mają pozostać stabilne. Skoro gospodarka ma tak pędnąć, to dlaczego kotwica budżetowa na 2007 rok została ustalona na 30 mld zamiast na 20 mld zł?

Odpowiedzią może być to, że łatwo zakładać określone wpływy, gorzej je zrealizować. Najprostszym przykładem może być prywatyzacja. Dochody z jej tytułu w 2006 r. miały wynieść 5,5 mld zł. Na zapowiedziach się jednak skończyło. Ostatecznie mówi się o kwocie 1 mld zł, z czego połowa to efekt sprzedaży przez Skarb Państwa spółki, którą zakupiła inna spółka Skarbu Państwa. Bez tej transakcji dochody sięgnęłyby 10% zakładanych. Nie wiem czy Ministerstwo Skarbu wyciągnęło lekcję z tych zbyt optymistycznych założeń, gdyż na 2007 r. dochody z prywatyzacji zaplanowało na 3 mld zł.

Łatwo czynić założenia budżetowe. Brakuje natomiast namacalnych działań mających na celu polepszenie sytuacji przedsiębiorców i pracowników, mogących przynieść spodziewane, zwiększone wpływy budżetowe. O obniżce podatków możemy zapomnieć. Reformy wielu nierentownych branż gospodarki są odsuwane w czasie. Rząd ulega kolejnym grupom społecznym domagającym się przywilejów emerytalnych i żądającym specjalnego traktowania. Takie postępowanie zemści się za kilka lat, gdy PKB będzie wynosił 2% i nie będzie gdzie szukać dodatkowych wpływów do budżetu.

Trzeba szukać oszczędności, ale nie bardzo jest gdzie.

Wszystko za sprawą bardzo sztywnych wydatków budżetowych, które stanowią 70% dostępnych środków. Taka sytuacja powoduje, że trudno dokonać przesunięć wewnątrz budżetu bez narażenia się opinii publicznej. Jak wspominałem wcześniej, wpływy do budżetu za rok 2006 mogą być wyższe od początkowo zakładanych o ok. 3,5 mld zł, (ostateczne dane będą znane w styczniu). Wątpliwe jest jednak, aby były one wykorzystane na zmniejszenie przyszłorocznego deficytu. Pomysłów na zagospodarowanie wszelkich nieprzewidzianych nadwyżek w budżecie nie brakuje. Wspomniane 3,5 mld zł posłużą zapewne na pokrycie licznych obietnic w postaci podwyżek czy zasiłków dla niektórych grup społecznych np. senioralne, czyli jednorazowa wypłata dla emerytów.

Pomimo wysokiego PKB niebezpiecznie rośnie zadłużenie Polski.

Choć może się to wydawać nielogiczne, tak właśnie jest. Gdy zwiększają się dochody budżetowe powinno się spłacać zadłużenie z nadwyżek jakie pojawiają się wówczas w kasie państwa. W Polsce dzieje się inaczej. Zadłużamy się coraz bardziej, a koszty obsługi zadłużenia są ogromne. Ministerstwo Finansów szacuje, że w samym 2007 roku wydatki z tego tytułu wyniosą 28,1 mld zł. To dla porównania tyle, ile wyniesie tegoroczny deficyt.

Na polskie zadłużenie bacznie patrzy Międzynarodowy Fundusz Walutowy (MFW), który od lat zajmuje się analizą

rynków finansowych.

Dane Ministerstwa Finansów o polskim zadłużeniu dają do myślenia.

W przeciągu niespełna 6 lat, od grudnia 2000 r. do czerwca 2006 r. zadłużenie sektora finansów publicznych wzrosło z 280 mld zł do 500 mld zł, co oznacza wzrost o 80%.

Dopóki sytuacja gospodarcza Polski jest dobra, a PKB rośnie szybciej niż w krajach dawnej UE, nie mamy problemu ze sprzedażą kolejnych emisji obligacji. Należymy do tzw. krajów rozwijających się, które choć są uznawane za względnie stabilne, to jednak obarczone wyższym ryzykiem inwestycji niż kraje starej UE. Warto mieć w pamięci to, że jeszcze kilkanaście lat temu kraje zachodnie umorzyły nam znaczą część zadłużenia, a resztę rozłożyły na bardziej atrakcyjnych warunkach. Szkoda tylko, że kolejne rządy nie wyciągnęły lekcji z tamtego okresu i zadłużają Polskę na potęgę.

Skoro inni mogą się zadłużać, to i my możemy

Takie podejście do tematu jest mocno niepoważne. Powoływanie się przez PIS oraz Samoobronę na fakt, że polski poziom zadłużenia jest cały czas poniżej wymaganych 60% PKB, pokazuje jedynie braki w wiedzy na temat ekonomii. Choć faktycznie spełniamy kryterium z Maastricht, to powodów do zadowolenia nie ma. Po pierwsze, niektóre z krajów dawnej UE, które faktycznie są zadłużone ponad 60% (Belgia, Grecja, Niemcy, Włochy - według Eurostat) są nieporównanie bogatsze i rozwinięte gospodarczo. Po drugie, nie należy brać przykładu z krajów takich jak np. Włochy, które zmagają się zadłużeniem, a raczej z Irlandii, Danii czy Wielkiej Brytanii, którym nie grożą tego typu problemy.

Fala emerytów nadchodzi

Temat reformy emerytalnej wrócił na pierwsze strony gazet pod koniec października b.r. Wtedy to minister Anna Kalata z Ministerstwa Pracy i Polityki Społecznej zaproponowała, aby emerytury z II filara wypłacał ZUS. To poważne zachwianie dotychczasowych założeń emerytalnych, które określały wyraźnie, że II filar mają obsługiwać prywatne instytucje finansowe. Propozycja, aby ZUS zajmował się wypłatą świadczeń, może budzić niepokój wśród przyszłych emerytów. To kto ma wypłacać świadczenia to jedno, a skąd brać na nie środki to znacznie poważniejszy problem. Demografia jest nieubłagana. Obserwowany od połowy lat dziewięćdziesiątych systematyczny spadek ilości urodzeń za kilka lat spowoduje, iż konieczny będzie znaczny wzrost wydatków budżetowych dla utrzymania ciągłości wypłat rent i emerytur.

Polacy należą do najmłodszych emerytów w Europie. Średni wiek przejścia na emeryturę to według GUS 58,7 lat dla mężczyzn i 56 lat dla kobiet (ustawowo powinno być 65 i 60 lat). Tak łaskawy system umożliwiający wcześniejsze przechodzenie na emeryturę w połączeniu z coraz dłuższą średnią życia prowadzi w nieuchronny sposób do katastrofy systemu. Problem potęguje ogromny odpływ młodych ludzi na emigrację, którzy nie płacą podatków do państwowej kasy. W ten sposób coraz mniejsza ilość pracujących musi utrzymać coraz większą rzeszę emerytów. Jeśli obecne tendencje nie zmienią się, za 3 lata liczba emerytów i rencistów zwiększy się o ok. 700 tys. Kto sfinansuje ich świadczenia?

Budżet i tak jest mocno obciążony. Skutkiem tego może być tylko dalsze zadłużanie się w celu pokrycia bieżących potrzeb. Ale jak długo można się zadłużać? Tym bardziej, że pożyczone środki idą na bieżącą konsumpcję, a nie na reformy.

Polscy przedsiębiorcy nie widzą powodów do hurra optymizmu.

Do takich wniosków można dojść obserwując rosnące oszczędności firm. Przedsiębiorcy pomimo bardzo dużych zysków zamiast inwestować oszczędzają. Na koniec września 2006 r. wartość zgromadzonych w bankach środków przekroczyła 105 mld zł. Dane te powinny niepokoić, gdyż pieniądze te powinny być przeznaczane na inwestycje, które obok eksportu miały być głównym motorem wzrostu gospodarczego. Tymczasem jak podał GUS deficyt Polski w handlu zagranicznym w pierwszych 10 miesiącach tego roku wyniósł 8,9 mld euro. Rok wcześniej jego wysokość wynosiła 7,7 mld euro. Oprócz spadającej opłacalności eksportu martwić może również jego struktura. Jak wynika z danych GUS zaledwie 3% sprzedawanych za granicę towarów można zaklasyfikować jako oparte na nowych technologiach. Sprzedaż „prostych” towarów nie utrzyma dynamiki w kolejnych latach. Do niedawna Polska mogła konkurować ceną. Duże rezerwy wydajności i tania siła robocza dawały nam przewagę. Te rezerwy się jednak kończą, a działań w kierunku polepszenia innowacyjności nie widać. Z informacji jakie płyną z organizacji reprezentujących przedsiębiorców, takich jak Polska Konfederacja Pracodawców Prywatnych Lewiatan, wynika wyraźnie, że przedsiębiorcy boją się o przyszłość i dlatego zwlekają z podejmowaniem decyzji o inwestycjach. Te jak wiadomo wymagają przyjaznego klimatu i przejrzystych przepisów. Oby panująca obecnie niepewność nie

spowodowała, że za rok czy dwa będzie za późno na podjęcie działań.
Pozostaje mi mieć nadzieję, że 2007 rok przyniesie wszystkim więcej stabilności oraz będzie rokiem wykorzystanych szans na dalszy dynamiczny rozwój.

Autor: Tomasz Bar

Przedruk ze strony:

http://artelis.pl/art-251,6,17,Biznes_i_Gospodarka,Polska_gospodarka_pod_koniec_2006_roku_.html

Artykuł pobrano ze strony eioba.pl